

Lew Rywin nie chciał odpowiadać na pytania Komisji Śledczej
**To nie ja poszedłem do Agory,
to Agora przyszła do mnie!**

— czytaj str. 10-11

TYGODNIK

ISSN 0867-8162 Nr Inwestycji 276726 K 48260

www.angora.com.pl wap.angora.com.pl

ANGORA®

PRZEGLĄD
PRASY
KRAJOWEJ
I ŚWIATOWEJ
Wydanie: 410 200 egz.

WARSZAWA-CIBCAGO-DORIMEND-TORONTO-NDWY JORK

Nr 9(663)

Rok XIV

2 marca 2003 r.

Cena 3 zł (w tym 7% VAT)

Lazio -Wisła 3:3!

O meczu czytaj
na str. 65-66



Fot. PAP, collage Piotr Rajczyk

Czy należy rozwiązać Krajową Radę Radiofonii i Telewizji?

Wyślij SMS z Twoim zdaniem o treści: **RAS.TAK** lub **RAS.NIE** na numer 7148 (w sieci IDEA, ERI lub PLUS). Opłata 1 zł + VAT.
Wyjście: sobota 00002/Rajczyk w naszym przyr. numerze.

Mekong, Matka Wszystkich Rzek

PERYSKOP PRZEGLĄD KULTURY ŚWIATA

Głębokim rozczarowaniem rzykuje ten, kto próbuje szukać dawnych Indochin na mapie świata. Leżące między Morzem Południowochińskim i Zatoką Syjamską kolonialne imperium Francji, które wypromowało mit egzotyki i rozkoszy życia, rozplynęło się przed półwiekiem niczym mydlana bańka. Urzekająca aura nostalgii zachowała się tylko w podręcznikach historii i na stronicach powieści opiewających atmosferę dawno minionych czasów.



Przeprawa przez bród. Wietnam

Kambodża i Wietnam uwiiodły mnie bez reszty egzotyką, tropikalną roślinnością, klimatem, kalejdoskopem ludów, urodą kobiet, wolno płynącym czasem, a przede wszystkim odmiennością cywilizacji, o której Rudyard Kipling napisał: „Wschód jest Wschodem, Zachód – Zachodem i nigdy się nie spotkają”. Nawet nowe nazewnictwo geograficzne nigdy nie będzie miało dla mnie dawnego uroku: Syjam, Cejlon, Sajgon, Rangun czy Kochinchina, których magia i tajemniczość budzi wyobraźnię niejednego człowieka.

Mekong, jedna z najbardziej tajemniczych rzek świata, przecinająca Chiny, Laos, Myanmar, Tajlandię, Kambodżę i Wietnam, tchnie oddechem historii i mitologii. Była świadkiem burzliwych przemian, upadku imperiów, schyłku dominacji kolonialnych, narkotykowego biznesu, ale także życiodajną drogą komunikacyjną oraz głównym źródłem utrzymania milionów ludzi.

Arteria wodna o długości 4.350 kilometrów stanowi granicę między przeszłością i dniem dzisiejszym. Tajlandia, jeden z tygrysów Azji, sąsiaduje z Laosem nietkniętym nowocze-

snością i Myanmarem jeszcze dziś odizolowanym od reszty świata. Wietnam, który gani kraje Pierwszego Świata, harmonijnie współżyje z tradycyjną atmosferą Kambodży.

Latem ubiegłego roku odbyłem żeglugę z nurtem legendarnego Mekongu, Matki Wszystkich Rzek, jak nazywają ją Tajowie. Do tej pory

nikomu nie udało się

spłynąć nią na całej długości. W 1866 roku próbowała dokonać tego francuska ekspedycja dowodzona przez kapitana Doudarta de Lagrée, której celem było ustalenie połączenia komunikacyjnego między Wietnamem i Chinami. Po dwóch latach podróży, kaskady wodne, choroby i potyczki z rebeliantami, zmusiły śmiałków do kapitulacji. W naszych czasach dostęp do Mekongu był początkowo ograniczony ze względu na toczące się w tym regionie wojny. Później rządy komunistyczne zamknęły granice dla cudzoziemców, a ostatnio odstraszała przybyszów aktywność uzbrojonych band.

Miejsce narodzin najdłuższej rzeki Indochin długo było okryte tajemnicą. W 1994 roku wyprawa chińsko-francuska ustaliła, że źródło znajduje się na przełęczy Rupsa-la, 4975 m n.p.m., na niedostępnym płaskowyżu wschodniego Tybetu, całkiem niedaleko od źródła innego rzeczno-giganta – Jangcy. Roztopione śniegi dają początek stru-

mieniowi, który szukając drogi na południe, zmienia się w lodowatą rzekę, wreszcie w potężną arterię, niosącą do 60 milionów litrów wody na sekundę.

Po całodziennej jeździe malowniczą, górską drogą na północy Laosu, osiągamy Luang Nam Tha, osadę graniczącą z Chinami, Myanmarem i Tajlandią. W powietrzu unosi się zakazany zapach broni, opium i całej reszty szmuglerskiego biznesu. Odwiedzamy prymitywną wioskę Lentenów, ludzi utrzymujących tylko luźny kontakt ze światem i żyjących jak przed wiekami żyli ich przodkowie. Należą do ludu Miao-Yao. Nikt nie wie, ilu ich jeszcze pozostało, ale z pewnością nie więcej niż 4 tysiące w 25 osadach. Są animistami, zachowującymi prastare obrzędy. Życie upływa im bez większych satysfakcji, ale też bez zbyteknych zmartwień. Noszą siną, samodzielną odzież, kobiety depilują brwi i ubierają masywną, srebrną biżuterię. Są niedożywieni, łatwo zapadają na gruźlicę i malarię, która i tu zbiera wiele ofiar.

O sto kroków od chat na palach, między którymi w cuchnącej sadzawce wyleguje się stado bawołów,

rozciąga się pole maku,

falujące morze białych i fioletowych kwiatów, wśród których porusza się wolno kobieta i zakrzywionym nożykiem delikatnie nacina makówki. Spływa z nich mleczny płyn, nabierający ry-



Myśliwy z plemienia Dżarejów

chło barwy bursztyru i tężejący w woskową masę. Wioska, licząca 300 mieszkańców, produkuje rocznie około 50 kilogramów opium i dwie trzecie swej produkcji spożywa sama. Opium się pali, ale także używa jako leku, czy też wzbogaca się nim codzienną dietę. Swego czasu narkotyki był używany tylko przez dorosłych, my jesteśmy świadkami sceny, gdy fajkę z opium palą chłopcy i dziewczynki.

Laos, w którym według danych satelitarnych produkuje się 200 ton opium rocznie, zajmuje trzecie miejsce, po Afganistanie i Myanmarze. Miejscowi góralę zarabiają na tym kilkaset dolarów, co wystarcza na przeżycie. Hurtownicy dorabiają się fortun. Rząd, naciskany przez ONZ, próbuje zwalczać plagę. Niestety, proceder nadal kwitnie, w milczeniu tolerowany przez państwo.

W chłodny poranek lokujemy się w „speed boat”. Odbicie od brzegu przypomina start boeinga. Gdyby nie nauszniki, to hałas silnika mógłby rozsadzić głowę. Ponieważ w okresie niskiej wody na rzece nie brak kamiennych mielizn i skał, zakładamy pasy ratunkowe oraz kaski ochronne. Emocje rosną. Spływamy głębokim wąwozem, enklawą surowej, narkotycznie uzależniającej przyrody, przez którą Mekong toczy wody. Na brzegach ani śladu człowieka. Od czasu do czasu napotykamy jakąś łódź, mijamy zanurzoną po brzegi krypę pod chińską banderą, załadowaną proszkami do prania, zabawkami, sprzętem kuchennym i „być może bronią”, jak sądzi nasz motorniczek.

W Huay Xai zamieniamy hałaśliwą łódź na tradycyjne czółno z trzymetrowym wałem silnikowym, który można unosić na płycznach. Brzegi z wolna stają się zamieszkałe, co potwierdzają jakieś nędzne wioski. Przed Luang Prabang, u stóp położonej nad wodą groty Pak Ou, grupa młodych mnichów buddyjskich zrzuciła szafiranowe szaty i hałaśliwie kąpie się w rzece. W przyćmionym świetle groty widać setki połączonych figur Buddy, pozostawione tu przez pielgrzymów. Grupa Laotańczyków modli się na kolanach. Wygląda to jak gigantyczny żłóbek bożonarod-

zeniowy ustawiony w fantastycznym podziemnym świecie.

Zachodzi już słońce, gdy docieramy do Luang Prabang, miasta z niezatartymi śladami piękna dawnej stolicy Królestwa Miliona Słońc. Niewiele zmieniło się tu od mojej ostatniej wizyty przed dziesięcioma laty. Miasto wciąż pozostaje jednym z najbardziej romantycznych i niezwykłych miejsc Indochin. Ostatni zakątek dziewiętnastowiecznej Azji, tak bliskiej sercom Conrada, Ki-

wysilek ONZ, by zaprowadzić tu porządek. 26 tysięcy Błękitnych Helmów wróciło do domów, zostawiając kraj na pastwę losu: korupcji, przestępczości i nikłej nadziei na polityczną stabilność.

Ludzie zaczynają jednak nowe życie, zapominając o straszliwej przeszłości. Powraca tradycyjny khmerski życzliwy uśmiech, nawet jeśli w stolicy ciągle słychać strzelaninę, szerzy się prostytucja nieletnich oraz handel dziećmi. Nic dziwnego, że turyści odwiedzający

zapachu, który wypełnia okolicę. Jednych przyciąga, innych odrzuca. Mówi się tu, że ma boski smak, ale piekielną woń. Przyrodnik Alfred R. Wallace pisał, że warto przyjechać do południowo-wschodniej Azji, by spróbować tego owocu. Popieram ten pogląd, nawet jeśli reszta moich kompanów jest wyraźnie zde gustowana.

Po sześciu godzinach żeglugi osiągamy granice, ale żołnierze kambodżańscy nie chcą nas wypuścić. – *Na wietnamskiej wizie brakuje adnotacji, że możecie się tu odprawić* – kpi bosy oficer w rozchełstanej koszuli. Jest to złośliwość, bo nie dalej jak wczoraj wietnamski konsul zapewniał, że wiza jest ważna wszędzie. W skwarze wracamy do Phnom Penh, skąd nazajutrz wyjedziemy wynajętym samochodem.

Nasza przygoda kończy się w gigantycznej delcie Mekongu, aluwialnej dolinie z tysiącem kanałów, między którymi rozciągają się plantacje kuczuku, wечно zielone mangrowce, a przede wszystkim nieskończona, rozległa szachownica zielonych, połyskujących w słońcu pól ryżowych. Wietnamczycy nazywają dolny odcinek rzeki – Cuu Long – Dziewięć Smoków. Każdy z nich jest odnogą Mekongu, który spływa do Morza Południowochińskiego, niosąc rocznie 475 bilionów metrów sześciennych wody.

Podczas wojny wietnamskiej cztery miliony hektarów delty były koszmarem dla Amerykanów, którzy by zniszczyć kryjówki i sieci tuneli Wietkongu, zrzucili tu ogromne ilości środków chemicznych. Pamiętacie „Czas Apokalipsy”? Dziś delta jest regionem o doskonale prosperującym rolnictwie, ponownie żyje z dobrodziejstwa ciepłego, wilgotnego klimatu i żyznego łu, które dają dwukrotne w roku zbiory ryżu.

Francuzi, którzy świetnie znali ludność swojego dominium, wystawili im dobrą cenzurkę: – *Podczas gdy Wietnamczycy sadzą ryż, Khmery kontemplują ich pracę, a Laotańczycy słuchają, jak potem ryż rośnie.*

**Tekst i zdjęcia
JACEK PAŁKIEWICZ**



W nadrzecznej osadzie...

plinga czy Maughama. Przybysza uderza atmosfera melancholii i nieuchwytny czar idyllicznego pejzażu,

zapach jaśminu i drewna sandałowego.

W 1995 roku Luang Prabang został wpisany na listę światowego dziedzictwa UNESCO.

Do Kambodży docieramy samolotem, bo na Mekongu nie ma punktu granicznego. W latach 1975-79 Czerwoni Khmery wymordowali tu 1,5 miliona osób. Prawie co czwartego mieszkańca. Nikt na świecie nie zareagował wtedy na ten holocaust. Na nic zdał się

świątynie w Angkor, klejnot wielowiekowej świetności Kambodży, omijając stoleczne Phnom Penh i lecąc tam bezpośrednio z Bangkoku czy Sajgonu.

Kontynuujemy podróż po gliniastozłoty wodach Bassaca, jednej z odnog Mekongu. Po obu brzegach ciągną się rzędy falujących palm i drzew mangowych obwieszonych dojrzewającymi owocami. Czasem pośród bujnej roślinności pojawia się kolorowa świątynia. Nie ma mostów, tylko promy z ludźmi i pojazdami. Stajemy w wiosce, gdzie na jednym ze straganów wieśniaczka smaży nam ryby. Z mieszczanymi uczuciami jemy durian, owoc o przenikliwym i niesprecyzowanym



Myanmar (dawniej Birma). Wioska, w której zatrzymaliśmy się podczas podróży



Na pastwisku